



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Swiat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. i sgr. 20.

## WYSTAWA ROBÓT SZKOLNYCH

### W Kołomyi.

Na zjeździe pedagogicznym w Krakowie, w roku ubiegłym, p. Jerzy Harwot w wykładzie swoim „Pracownia szkolna ze stanowiska pedagogiki i ekonomii społecznej“, powstając na bezużyteczność teoretycznego kierunku w szkole początkowej, wykazując postęp rzemioł w szkołach belgijskich, szwedzkich, niemieckich i francuzkich, domagał się reformy szkół galicyjskich w tym kierunku. Wobec ważności sprawy, wobec słusznej obawy wielu pedagogów, aby szkoła początkowa nie zamieniła się na warsztat, nie śpieszono się z uchwałą w tym względzie: zgodzono się na wniosek D-ra Józ. Żulińskiego, aby przede wszystkim zbadać, czy rzeczywiście szkoły ludowe galicyjskie grzeszą tak bardzo rozbratem z potrzebami życia, zwłaszcza, że w wielu z nich roboty się nadobowiązkowo uprawiają, co wykazała wystawa z r. 1877, do czego Zjazd walny Towarzystwa w Nowym Sączu 1878 zachęcał; a zbadać będzie można najłatwiej, urządzając w czasie przyszłego zjazdu w Kołomyi wystawę rzeczy i wyrobów, będących wyrazem *praktycznego kierunku* w szkole. Wiele kosztów i trudów, zwłaszcza kancelaryjnych, poniósł Zarząd główny przy doprowadzaniu tej wystawy do skutku. Wydział krajowy na częściowe pokrycie kosztów wyznaczył 200 zlr. Wyższe władze, Rada szkolna, raury szkolne okręgowe, chętnie bardzo pośpieszyły z ułatwieniami i z pomocą. Kommissya wybrana przez zarząd, do której weszli: Bol. Baranowski, Józef Kerekjarto, Walenty Kowalówka i D-r Józ.

Żuliński, jako wnioskodawca, zajęła się wypracowaniem planu wystawy oraz kwestyonaż, co rozesała po wszystkich szkołach. Było to w Kwietniu, nauczyciele więc nie mieli już czasu przygotowywać okazów „na wystawę“; wybierali z gotowych przedmiotów te, które w zakres programatu wchodziły.

Plan wystawy obejmował 3 działy. Dział I *Prace uczniów*. 1) Roboty ręczne chłopców z drzewa, wici, słomy i t. p. nadobowiązkowe, t. j. wykonywane pod kierunkiem nauczyciela w godzinach pozaszkolnych. 2) Roboty ręczne dziewcząt obowiązkowe, lecz tylko niezbędne. 3) Plany ogrodów szkolnych, modele uli, modele narzędzi rolniczych, okazy szczepienia, oczkowania, gatunków ziemi rolnej i t. p. 4) Rysunki sprzętów i narzędzi domowych, rolniczych, zabudowań, a także wzory robót kobiecych. 5) Wzory wypracowań i zadań stylistycznych, odnoszących się do potrzeb powszedniego życia, a więc listy, podania, kwity i t. p. 6) Wzory rachunków gospodarskich. Dział II. *Wykazy statystyczne* wyrobów w różnych szkołach i miejscowościach, sporządzone według rubryk zapełnionych przez każdego nauczyciela w kwestyonażu; oprócz ogólnego sprawozdania o wyrobach ręcznych w różnych stronach Galicji, sumującego wszystkie dane, Zarząd zamierzał przygotować mapę Galicji na podstawie tego materiału. Dział III. *Wystawa zbiorów fizykalnych i przyrodniczych*, normująca odpowiednie zbiory dla szkół wyłącznie jednoklassowych.

Kwestyonaż zawierał pytania zgrupowane w 3 oddziały. Oddział I *Roboty ręczne chłopców*. 1) Czy, za czyją inicjatywą i od jak dawna zaprowadzono w tamtejszej szkole roboty ręczne chłopców? 2) Jakie i z jakiego przeważnie materiału roboty te się wykonywają? 3) Czy wyrabiają je wszyscy, czy też niektórzy tylko uczniowie? 4) Czy robią je pod nadzorem nauczyciela w szkole, czy też za jego wskazówką, w domu lub na polu? 5) Jeżeli w szkole, to w jakim czasie? czy w godzi-

nach nadobowiązkowych i w których dniach, czy też w czasie cichego zajęcia? 6) Jeżeli dotąd podobnych robót w szkole nie było, to które z nich, w jakim zakresie i z jakiego materiału dałyby się w szkole zaprowadzić i jakich pomocy szkołaby potrzebowała do ich zaprowadzenia? 7) Jakiego rodzaju przemysł domowy i w jakim zakresie istnieje na miejscu lub w najbliższej okolicy i gdzie? Oddział II. *Praktyczna nauka rolnictwa, ogrodnictwa i pszczelnictwa*. 1) Czy, od jak dawna i za czyją inicjatywą zaprowadzono przy szkole sad, ogród warzywny, szkółkę drzew, pasiekę i t. p.? 2) Czy i w której porze zaprawia nauczyciel uczniów do praktycznych zajęć w rolnictwie, ogrodnictwie, pszczelnictwie? Czy i ile uszlachetnionych szczepów rozdała dotąd szkoła mieszkająca w gminie? Czy i o ile szkoła przyczyniła się do upiększenia miejscowości, jak np. obsadzenie drzewkami dróg, krzyżów i kaplic przydrożnych, uporządkowania i upiększenia kwiatami i drzewami cmentarza miejscowego i t. p.? 3) Czy i o ile nauczyciel posiada przez siebie sporządzone zbiorki naturaliów, niezbędnych do objaśnienia wyrazów, przy nauce czytania i języka. Oddział III. *Roboty kobiece i gospodarstwo domowe*. 1) Czy i od jak dawna nauka robót ręcznych kobiecych bywa udzielana? 2) Kto robót tychże udziela i w ilu godzinach tygodniowo? 3) W jaki sposób przeprowadzono stopniowanie tychże robót, czego i jak uczyć w każdej klasie? 4) Czy i o ile szkoła przyczyniła się do praktycznego zaprawiania dziewcząt do gospodarstwa domowego?

Przy tak ściśle określonym planie, zakresie i warunkach wystawy można było rachować na liczny udział wystawców, tem więcej, że nie było to zupełną nowością; wystawy szkolne mają już swoją tradycją i dobrą reputacją w Galicji. Towarzystwo urządzało już wystawy: r. 1870 w czasie walnego zjazdu w Kołomyi — wystawę szkolną ogólną, złożoną, co prawda, z przyborów pomocniczych do nauczania, ale sprowadzonych na-



prędcę z Wiednia; 1872 — w Tarnowie — wystawę szkół ludowych, 1874 — w Stanisławowie — wystawę szkół żeńskich. W czasie wystawy krajowej w r. 1877 we Lwowie dział szkolny przedstawił się nader korzystnie, świadcząc wymownie o postępie szkół ludowych i seminarjów nauczycielskich w kierunku praktycznym, o postępie metody nauczania w kierunku poglądowym; znalazło się tam wiele przyrządów i przyborów szkolnych, polskiego pomysłu i wykonania, nieustępujących w niczem przyborom niemieckim i francuzkim; że powołamy tellurium ks. Głodkiewicza, nowy glob niebieski, liczydło ułamkowe, poprawne liczydło i kątownicę D-ra Józefa Żulińskiego, zbiory i modele do nauki poglądowej Gajdy, wyroby przyrządów fizycznych Łapczyńskiego i Góreckiego, ryby wypchane prof. Syrskiego i w. in. Niezmiernie ważna jest w tym względzie broszura D-ra Józefa Żulińskiego p. t.: *Dział wychowania i nauki*, stanowiąca IV zeszyt Sprawozdania z wystawy rolniczej i przemysłowej we Lwowie 1877, wydana we Lwowie r. 1880.

Doświadczenie nabyte z 4-ch dotychczasowych wystaw szkolnych, że już nie mówimy o innych częściowych wystawach jak n. p. przeszłoroczna, urządzona w czasie zjazdu pedagogów w Krakowie przy seminarjum nauczycielskiem żeńskim; uławiło poniekąd kommissyi zadanie, z którego też dobrze się wywiązała,znaczając ściśle cel i zakres wystawy: zakres dotychczasowych wystaw coraz był specjalniejszy, zacieśniając się stopniowo; ostatnia, kołomyjska wystawa, poprzestając tylko na kierunku praktycznym, miała jeszcze specjalniejszy charakter: nie była to właściwie wystawa szkolna, ale wystawa *robót szkolnych*. W takich tylko warunkach można dojść do jakichś rezultatów: czasy wystaw powszechnych, wystaw imponujących niezliczonym ogromem przedmiotów, minęły już podobno; pragniemy wystaw specjalnych, na którychbyśmy się mogli nauczyć czegoś. Przygotowująca się wystawa kołomyjska obudziła duże zajęcie pomiędzy nauczycielami; zaczęli zachęcać dzieci do zajęć praktycznych tacy nauczyciele, którzy dotąd o tem nie pomyśleli. Urządzeniem wystawy na miejscu w lokalu wyższej szkoły żeńskiej, utrzymywanej staraniem Towarzystwa Pedagogicznego, zajmował się energicznie komitet, do którego weszli: Prof. Leopold Wajgiel, p. Czechowicz i pani Zosłowa.

Pierwszego dnia obrad (17 Lipca) zdał sprawę wyczerpująco przed zjazdem D-r Józ. Żuliński z czynności kommissyi wystawowej, scharakteryzował dotychczasowe wystawy, zaznaczył jakie postępy robią zajęcia praktyczne chłopców, zalecone także przez delegacyą szkolną (ankietę), wykazał właściwie ich stanowisko w szkole, jako dodatkowego zajęcia, nieprzeszkadzającego prawidłowemu planowi i przebiegowi nauk, a przecież podnoszącego wpływ szkoły na polepszenie materialnego a nawet i moralnego bytu ludu; przedstawił plan ostatniej wystawy, zaznaczył czynne zainteresowanie się nauczycielstwa tą sprawą. Wybrano następnie komitet sędziów wystawowych, do którego powołano przeważnie osoby zajmujące wyższe kontrolujące stanowiska w szkole galicyjskiej; zasiadała w nim i p. Julia Selingerowa, znana w literaturze pedagogicznej (choćby z ostatniego swego dzieła: „Obowiązki kobiety w zakresie gospodarstwa domowego“, Lwów 1882), dyrektorka szkoły wydziałowej w Tarnopolu: zdaniem naszym byłoby korzystniej, gdyby do owej kommissyi weszło więcej osób prywatnych niezależnych, niemających urzędowych stosunków ze szkołami; nie bez korzyści byłoby też wezwać kogoś z poza sfery nauczycielskiej, jakiego biegłego rzemieślnika lub technika. Nieznając dokładnie stosunków tamtejszych, nie stawiamy tego zarzutu nieodwołalnie, wypowiadamy tylko myśl naszą, oddając sprawiedliwość kommissyi, która przez 3 dni z prawdziwym poświęceniem zajmowała się spełnieniem mozolnego swego zadania, opuszczając posiedzenia, wyrzekając się wszelkich przyjemności i rozrywek, przygotowanych dla uczestników zjazdu.

Otwarcie wystawy nastąpiło bezpośrednio po pierwszym, skróconem nawet z tego powodu, posiedzeniu: przemiłował do przybyłych prof. Wajgiel,

odpowiedział pięknie prezes Sawczyński, wskazując na wystawę jako na żniwo szkoły, z którego wszyscy mogą wnosić o pracowitości rolnika; jako na łącznik pomiędzy szkołą a publicznością, która ma prawo i powinna żywo zajmować się szkołą, sądzić ją, cieszyć się jej postępiami. — Publiczność z zajęciem zwiędzała wystawę w kilku salach gustownie przybranych, a obecni wystawcy nie szczędzili objaśnień. Ogólne wrażenie, jakie z tamtąd wynieśliśmy, było bardzo zadowalniające; wystawa była specjalna, w ciasnych ramach zamknięta, mimoto przecież zadziwiała mnóstwem przedmiotów.

Uderzały przedewszystkiem wszędzie prawie liczenie nagromadzone modele narzędzi rolniczych, co dowodzi, że główny cel wystawy został osiągnięty, że wielu bardzo nauczycieli zajmuje chłopców robotami ręcznymi. Jedną rzecz jest poniekąd dla nas zagadką: czy każdy nauczyciel jest w możności racjonalnie kierować takimi zajęciami, skoro rzemieślnikiem nie jest; a choćby nim i był, to jak dałby sobie radę z kilku naraz rzemiosłami? Gdy przypuścimy, że przy dobrych chęciach potrafi się sam włożyć natyle, aby dzieciom dawać wskazówki w najpożyteczniejszej z zabawek, t. j. w wyrobach ręcznych; to przypuścić zaraz musimy, że minie się przez to z głównem swoim zadaniem, odrywając się od książki i w ogóle od pracy umysłowej, bez której przecież nie można sumiennie spełniać obowiązków w zawodzie nauczycielskim. Jeden młody nauczyciel z prawdziwym przejęciem objaśniał nam wyroby swojej szkoły; zapytany w trakcie rozmowy: kiedy ma czas kształcić się, skoro skąpe chwile, pozostające mu od zajęć obowiązkowych, przepędza przy warsztaku, odpowiedział z pewnem zdziwieniem:

— Ja jestem przecież wykształcony! — Powiedzenie to, usprawiedliwiające poniekąd powyższą naszą obawę, zostawiamy bez komentarzy, nie przytaczając dalszej rozmowy, która by nam mogła przypomnieć bajkę Morawskiego p. t. Zdarzenie z nosem.

Dekoracyjną część wystawy stanowiły pracownice, piękne bardzo i ze smakiem artystycznym rozwieszane i rozłożone roboty kobiece, z pomiedzy których wyróżniła się bielizna ustrojona w szlaki wyszywane niebiesko i czerwono na podobieństwo głośnych wyszywań huculskich (czarnohorskich); które-to wyszywania rozpowszechniło Muzeum Przemysłowe lwowskie przez wydawnictwo zebranych wzorów dotyla, że już fabrycznie zaczęto wyrabiać podobne galony do ubrania bielizny. Bogactwem przedmiotów wystawowych, jak i dokładnością ich wykonania, celowała miejscowa szkoła wydziałowa żeńska, która się już była odznaczyła na wystawie lwowskiej 1877 r.; okazy te i wszystkie im podobne n. p. szkoły lwowskiej, tarnopolskiej uważać jednak musimy za nadprogrammatowe; gdyż wystawa objęła miała szkołę elementarną przedewszystkiem, a w niej roboty dziewcząt „lecz tylko niezbędne“, za jakie uważać trzeba szycie wszelkiego rodzaju, cerowanie, roboty drutowe, znaczenie i niektóre roboty sztydelkowe (haczkowane); dodalibyśmy tu jeszcze naukę kroju w zakresie potrzeb klasy włościańskiej i robotniczej. Szkoły wyższe żeńskie, występując z robotami ozdobnymi i zbyt kownymi, zwróciły większą uwagę na te prace, pochłaniające uczniom wiele drogiego czasu, oczu i zdrowia niekiedy, a niedociągnięte do wysokości metody, którą się szkoła odznaczać koniecznie powinna. Czytaliśmy zresztą sprawozdania w dziennikach galicyjskich, w których, obok przyznania zasług pilnym bardzo nauczycielkom robót, zarzucano, na wyższym zwłaszcza stopniu nauki, brak jednostajnej metody, tudzież jasno wytkniętego celu. Jedne nauczycielki utrzymują, że nauka ograniczyć się powinna na wprawie w najpospolitsze roboty, jak szycie, dzierganie, ścieg krzyżowy; tak przygotowana uczennica da już sobie radę, gdy jej wypadnie w życiu praktycznym trudniejsze roboty wykonać. Inne utrzymują, że nie należy tracić wiele czasu na dokładne wyuczenie roboty, ale dawać jej jaknajwięcej i najrozmaitszej, aby uczennica obeznała się z robotami wszelkiego rodzaju choćby najsubtelniejszymi; warunki estetyczne, harmonia i dokładność rysunku leży

już poza obrębem szkoły. Inne wreszcie nie uważają za potrzebne rozwijać samodzielność i pomysłowość uczennic, ograniczając się na ślepym wykonywaniu gotowych wzorów i rysunków. Wogóle tak z różnolitego materiału wystawowego, jak i z różnów z nauczycielkami, wnosić można, że brak racjonalnego programmatu, brak planu, brak stopniowania w nauce robót kobiecych; rzecz ta wymaga reformy, o czem Zarząd Towarzystwa już pomyślał. W dzisiejszych naszych warunkach ekonomicznych, zwłaszcza przy rozwoju gęstych wyrobów fabrycznych, powinniśmy więcej cenić pracę ręczną kobiet i niepozwolić im w szkole przynajmniej całych tygodni i miesięcy trawić nad subtelnymi drobnostkami; zresztą przeprowadzić trzeba corychleż granicę pomiędzy nauką robót w szkole, sposobiącej do życia praktycznego, a nauką robót w pracowni specjalnej, sposobiącej do zarobkowania w takiej lub innej gałęzi pracy kobiecej.

Trzecia grupa przedmiotów, w całych stosach nagromadzona, były to różne „układy pisemne“, „zeszyty na dyktaty“ i t. p., zaciekały one nas bardzo, zdobyliśmy parę takich ćwiczeń w drodze wyjątkowej; po rozpatrzeniu ich w wolnej chwili, postawiliśmy dwie alternatywy: albo ćwiczenia prowadzą się w szkołach galicyjskich niefortunnie, albo dostały nam się wyjątkowe okazy. Jedno tylko na pochwałę powiedzieć możemy, że nie zaniedbują tam „pism interesownych“ t. j. listów, podań, kwitów, rachunków, wykazów, przekazów i t. p.; co do reszty zaś ograniczymy się do dwóch zarzutów: 1) nauczyciele przysłałi ćwiczenia, albo wcale niepoprawiane, lub też poprawiane piąte przez dziesiąte; znajdowaliśmy ćwiczenia jakby z zasady bez znaków przestankowych, nie mówimy już o skażeniu języka, na co najmniej podobno są czuli Galicyanie; 2) nauczyciele dają zaobszerne tematy, nie wskazując punktów wytycznych, nie dając dzieciom dyspozycji, rozkładu materii, skutkiem czego ćwiczenia bywają chaotyczne, pozbawione logicznego ciągu. Na poparcie tych zarzutów przepisujemy trzy przykłady. 1) *Karta korespondencyjna*. Kochany Przyjacielu! Donoszę Tobie że m z łaski Pana Boga zdrów i dobrze mi się powodzi Ja bym Cię prosił ażebyś mnie tam w Złazowie (miało być w Złoczowie) napytał sługę, i zrób mnie dwie par butów ze swego rzemienia. Napytaj mnie jakiego kupca na moje woły oni jeszcze młody (tu poprawka nauczyciela y na e) mają po cztery lata. 2) *Jaki pożytek mamy z drzewa?* Mamy podłogę wozy do wozów koła tablice ławki łyżki brony skrzynie. Z drzewa stoły szafy grabli suchowidła drzwi konewki szawliki beczki czysto koły obeczajki bramy stępy żarna Zdrzewa owocowego mamy owoc sliwki jabłka gruszki czereśni maliny z leszczyny grodziny płoty Drzewo mamy do palenia drzewa także pokazują nam drogi budujemy budynki skrzynki służy drzewa także chronią nas od zimna. 3) *Która uczennica jest dobra?* Uczennica jest dobra jak i dzie co dnia do szkoły dobra która szanuje suknie która słucha nauczyciela która słucha matki ojca która uważa na pisanie i na czytanie która nie zabija żaby która jak idzie drogą starszy powie Pochwalony Jezus Chrystus która dobrze się uczy która szanuje książek która szanuje rodziców która nie zabija ptaszków która nie rzuca błotem.

Zmierzając ku końcowi niniejszego artykułu, nie będziemy zatrzymywali się nad przedmiotami, które, choć zwracały na siebie uwagę, nie charakteryzowały przecież żadnej wybitnej gałęzi wyrobów, lub też wychodziły nazewnątrz wystawy; do takich n. p. zaliczamy figurki solidometryczne z tektury zeszywane włóczką i wycinki geometryczne szkoły żeńskiej wydziałowej w Tarnopolu tudzież liczydło Rybowskiego. Komitet sędziów, podzielony na kilka grup, wtajemniczając się we wszelkie szczegóły, lepiej mógł od każdej pojedynczej osoby ocenić wystawę; przygotował bardzo pracowite sprawozdanie, które referent d-r Józ. Żuliński w trzecim dniu obrad na zgromadzeniu odczytał. Zaznaczono tam postęp niezaprzeszczony w dziale wyrobów ręcznych chłopców, a zwłaszcza w modelach, plecionkach, ulach, w garniarstwie i szczenienu; roboty takie nadobowiązkowo wykonywano w 580 szkołach, a 420 szkół do-



pomina się pomocy w zaprowadzeniu robót. W rysunkach, których niewiele złożono, tylko gdzieś widać praktyczny kierunek, rysunek ornamentalny, kształcący wprawdzie zmysł estetyczny, mniej jest potrzebny w szkole ludowej, w której, podobnie jak z pismem, nie idzie o ozdobność, ale o wyrazistość; natomiast pożądane jest konturowanie rzeczy z najbliższego otoczenia. W ćwiczeniach stylistycznych zaznacza się zwrot praktyczny, któryby jeszcze więcej warto zbliżyć do potrzeb codziennego życia, tak pod względem treści, jak i formy; ćwiczenia gramatyczne z klasy I-iej usunąć. Po długiej liście szkół i wystawców nagrodzonych dyplomami pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia, nastąpił cały szereg rezolucyj: pierwsza ich grupa zmierzała do większego zaopiekowania się robotami ręcznymi chłopców, do zjednostajnienia planu tych zajęć i postawienia ich na równi z robotami żeńskimi, co tem łatwiej da się wykonać, skoro teoretyczna część planu na równi stoi w jednych i drugich szkołach. W następnych rezolucjach jest mowa o zaopatrzeniu szkół w przybory i materiały do robót ręcznych, o ogrodach przy szkołach, o sposobach przygotowania nauczycieli i nauczycielek do kierowania zajęciami praktycznymi, tudzież o ujednostajnieniu robót kobiecych zgodnie z wymaganiami higieny. W końcu następuje rezolucya, wypływająca z zastosowania ogrodnictwa, a mająca religijne i moralne znaczenie, wypowiedziana z niezwykłą siłą przekonania przez referenta, aby cmentarz i mogiła, których stan świadczy o moralności i cywilizacji społecznej, doznawały jak największej troskliwości i opieki ze strony szkoły. Rezolucye te, przedłożone zjazdowi przez p. Żulińskiego imieniem kommissji wystawowej, nacechowane rozumnie i podniosłemi dążeniami, są za piękne, aby odrazu mogły wejść w wykonanie; potrzebowałyby długich rozpraw: zgromadzenie, nierozpoczynając tych rozpraw dla braku czasu, uchwaliło, aby je wszystkie przekazało do uwzględnienia i załatwienia zarządowi głównemu.

\* \* \*

Nikt nie wątpi, że wystawy, a zwłaszcza szkolne, niewątpliwie nadzwyczaj doniosłe znaczenie: podają one ten czy inny kierunek pracy ludzkiej do bliższej świadomości i pod kontrolę ogółu; zainteresowanie się będzie tem większe, im kierunek ten ściślej się łączy z życiem narodu. Cóż z tem życiem ściślej łączyć się może nad szkołę? Mieliśmy ostatnimi czasy różne wystawy w Warszawie, począwszy od prozaicznego inwentarza, a skończywszy na idealnych różach; nie mieliśmy tylko dotąd ważnej bardzo wystawy.

Proponujemy wystawę szkolną.

Proponujemy wystawę pomocy naukowych różnych zakładów prywatnych, planów i urządzeń szkoły, ćwiczeń i robót szkolnych, robót dziewcząt i rzemieślników chłopców. Plan zresztą takiej wystawy jest rzeczą rozmysłu, skoroby już sam fakt był zdecydowany i formalności jego załatwione. Tymczasem zaznaczamy tylko co następuje:

1) Wystawa taka byłaby wyrazem budzącego się u nas od lat kilku ruchu pedagogicznego i postępu metod nauczania; stałaby się ilustracją do rozwijającej się u nas literatury pedagogicznej, a zwłaszcza Encyklopedyi Wychowawczej, Przeglądu i Rocznika Pedagogicznego.

2) Przełożeni i przełożone zakładów naukowych znaleźliby odpowiedni grunt do konkurencji i reklamy, poważniejszej od rozgłaszania o 48 przedmiotach wykładanych i wszelakich językach wykładowych, od głośnych różnych kombinacji kursów dodatkowych, wykładów wyższych i t. p.

3) Naród cały, nie wyjmując młodzieży, przyjąłby udział w powiększeniu funduszu na pomnik Mickiewicza, skoroby dochód z wystawy, urządzonej n. p. w końcu roku szkolnego, w czasie największego zjazdu obywatelstwa w Warszawie, na ten cel przeznaczono. A dochód ten zwiększyłby się, gdyby niektóre okazy zwłaszcza roboty kobiece w ostatnich dniach wystawy rozprzedawano. I uboga uczenniczka, dając bezpowrotnie na wy-

stawę drobnostkę jaką własnej pracy, cieszyłaby się, że może przyłożyć rękę do wielkiego dzieła uczczenia przez cały naród największego poety.

Wł. N—i.

## KRÓLEWIEC I GRUNWALD

### OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Felixa S\*\*\*

(Dalszy ciąg)

— Szkoda, zaiste! — przerwał Salzbach. — Domyślamy się, bracie Konradzie, coś chciał powiedzieć... Smutny to jego nałóg. Lecz jeżeli przypadek zdarzył, żeś wspólnie z nami był świadkiem dzisiejszej sceny, to jesteście pewni, że wszystko, cośmy widzieli, zostanie między nami.

Rzekłszy to, komtur spojrział nieufnie, mętnie i podejrzliwie na Konrada Zugehör.

Młody człowiek zraniony głęboko tem spojrzeniem w swoim uczuciu godności osobistej rycerza, a nawet człowieka, powstał z krzesła i odpowiedział mu dumnie:

— Panie kommandorze! Mój przełożony hrabia Wende nie znośliby w swoim otoczeniu człowieka trudniącego się sromotnym rzemiosłem donosiciela; każdy jego podwładny podobnie, jak on sam, musi być rycerzem bez skazy i pełnym honoru.

I Konrad uklonił się obudwu komturom i wyszedł.

— I w jakim też położeniu postawiło nas pijaństwo Sonnenberga! — zawołał z gniewem Schwelborn, po odejściu młodego rycerza. — Do samych tylko wybiegów i kłamstw uciekać się musimy, jak tonący w morzu do pierwszej lepszej deski, która mu znajdzie się pod ręką.

— Mniejsza o środki ratunku, — rzekł z kolei Salzbach, — byleby tylko były nam pomocne... Kłamstwo, mój bracie, jest w zwykłym porządku rzeczy ludzkich; nawet mocarstwa na niem stoją.. Nie bierz więc tak gorąco do serca, że od czasu do czasu i tej broni używać musimy... Zastanów się raczej, że obrona Sonnenberga leży w naszym interesie, że jeżeli sprawa królewiecka się wykryje... jeżeli on zginie, to i nas obu pociągnie za sobą. Przy dzisiejszej polityce tego fanatyka mistrza i jego przyjaźni z nienawistnym Witoldem... nasza zguba byłaby nieuchronną.

— A tymczasem, — rzekł Schwelborn, — musimy kłamać w obronie naszego honoru...

— I głów, które spaść mogą na rusztowaniu, — dokończył Markward von Salzbach.

## V.

Na początku Marca roku 1407 starszyzna zakonna zgromadziła się w Zamku Malborskim na rozkaz wielkiego mistrza, Konrada von Jungingen, który po czterastoletnich rządach, czując się dogorywającym, zapragnął pożegnać swoich braci zamkowych. Wielka sala zamkowa napełniła się dygnitarzami i przełożonymi, na których czele stali wielki komtur Konrad von Lichtenstein, podskarbi zakonu, Arnold von Hecke, szatny, Werner von Tettingen, marszałek, rodzony brat mistrza, Ulyrk von Jungingen i komtur Gniewia Albert hrabia von Wende. Za nimi szli w porządku starszeństwa wszyscy inni przełożeni i komturzy.

Wielki mistrz, który z ostatecznym wysileniem zwał się z pościeli, siedział pośrodku sali w białym habicie, z różańcem w ręku, z krzyżem na pierśsiach i mieczem u boku. Twarz jego, blada i surowa, nosiła na sobie piętno nieugiętej mocy charakteru.

Zgromadzenie zakonne otoczyło go szerokim półkolem; ustał szmer i głębokie, prawie grobowe

milczenie osiadło między marmurowymi ścianami sali.

— Bracia w Chrystusie! — przemówił do nich wielki mistrz. „Dni moje jako cień przemieły“ i zbliża się straszna godzina, w której niegodny sługa pański złoży w tamtem życiu ciężki rachunek za swoje własne i wasze grzechy. Miserere mei, Domine... quia non justificabitur in conspectu tuo omnis vivens. 1)

Bracia moi! Wiem, że moje rządy nie były wam miłe, żeście się uskarżali na zbytnią ich surowość; mimo to przywołałem was poraz ostatni, aby do was słowami prawdy i napomnienia przemówić; albowiem wam ode mnie przestroga, miłe od was posłuszeństwo się należy. Być może, głos umierającego zbawienniejszy osiągnie skutek, niż wszelkie środki surowości, których używałem za życia, aby w waszem gronie zgubne skłonności wyplenić.

Bóg Najwyższy jest mi świadkiem, że ukochał ten zakon synowską miłością, i że gorąco jego dobra pragnął. Lecz cóż znaczyły nieudolne prace i usiłowania ulomnego kierownika, wobec podszeptów złego ducha i sidiel, które na was piekło zastawiało? Wasze gwałty, bezprawia, okrucieństwo, rozpusta i zdzierstwo ciążyły nad biednym ludem chrześcijańskim; a cóż powiedzieć o Żmudzi, którą mieliśmy nawrócić na naszą świętą wiarę? Skargi i płacz tej nieszczęśliwej krainy rozeszły się po całym chrześcijaństwie. Upamiętajcie się; albowiem nie wiecie dnia ani godziny, w której dosięgnie was karząca ręka sprawiedliwości Bożej! Przechodząc teraz do spraw tego świata i doczesnych dóbr Zakonu, radzę wam utrzymać dobre i przyjazne stosunki z wielkim księciem Witoldem jako mocarzem potężnym i wielkiego geniuszu człowiekiem, z którego życiowej rady ja sam nieraz korzystałem. Wiedzieć, że zdradą i podstępem nie zgola w stosunkach z nim nie zyskacie, wiedzieć, że poróżnienie z nim to wojna z Litwą i Polską i ostatnia zguba Zakonu. Przepowiedziała ją ta bogobojna pani, świętej pamięci królowa Jadwiga, która już sobie śmierć poranna, a księciu Witoldowi klęskę nad Worskłą wywrożyła 2). Strzeżcie się, bracia moi, izby i ta ostatnia część jej przepowiedni się nie ziściła! Wielki mistrz utrudzony przemową zamilkł na kilka minut; poczem znów dodał:

— Zbawienie dusz waszych było mi drogiem jak moje własne; być może, wszelako, jako ulomny grzesznik, dążąc ku tak świętemu celowi wszelkimi siłami, dopuściłem się niesprawiedliwości; być może, któregośkolwiek z was skarcilem niesłusznie. Jeżeli tak było rzeczywiście, to w pokorze serca upraszam was, izbyście mi pobratersku, dla miłości Chrystusa Pana, przebaczyć raczyli!

Kiedy mistrz umilkł, szatny zakonu, Werner von Tettingen, postąpił kilka kroków naprzód i ze swej strony odezwał się:

— Najrzewiebniejszy panie i nasz wielki mistrzu! Błogi stan krajów zakonnych jest najlepszym świadectwem mądrości waszych rządów, i pokładamy nadzieję w Panu, że długo jeszcze dla dobra Zakonu raczy was zachować. Gdyby jednakże, ku ciężkiemu strapieniu naszemu, Opatrzność odwołała was z tego życia, to prosimy, izby wasza dostojność poradziła nam raczyła: kogo za jej chwalebne następcę wybrać możemy?

Obłuda i fałsz były z tych kilku słów szatnego, który był zawsze przeciwnym pokojowemu usposobieniu mistrza. Stary Werner Tettingen wkrótce potem, za mistrzostwa Ulyrka, najgwałtowniej podlegał Zakon do wojny; lecz mimoto uciekł haniebnie z pola bitwy pod Grunwaldem, gdzie tylu innych ze sławą zginęło.

Konrad Jungingen znał burzliwy i zarazem pozorny charakter szatnego; mimoto, nie tyle ze względu na niego, jako dygnitarza, lecz raczej dla innych pobudek, ściągających się do całego zgromadzenia, odpowiedział:

— Wezwijcie sobie na pomoc łaskę Ducha Ś-go,

1) Zmituj się nademną, Panie, albowiem nie usprawiedliwi się w obliczu Twojem żaden żyjący.

Psalmi Pokutne.

2) Witold został zwyciężony przez Chana Edygę nad Worskłą w r. 1399; Jadwiga miała tę klęskę przepowiedzieć.



izby kierowała waszym wyborem i obierzcie wielkim mistrzem waszym męża, któryby przedewszystkiem pokój i sprawiedliwość miłował; oświadczenia zaś, kogo za takiego ja sam uważam, nie sądzę być pożytecznym.

A teraz, żegnam was, bracia! Zostawcie mnie samego! Godziny moje są policzone, dajcie mi czas do pojednania się z niebem!

W kilka godzin potem wielki komtur Konrad Lichtenstein, podskarbi zakonu Arnold Hecke i komtur hrabia Wende wezwani zostali do mistrza, który uczuł się nieco zdrowszym. Byli to jego najlepsi przyjaciele i nie też przed nimi nie miał on skrytego.

Rozmawiali wszyscy z sobą owego wieczora dość długo o najważniejszych sprawach świeckich; nakoniec, po pewnym przestanku w owej poufnej rozmowie, chory przeszedł do przedmiotu, który niegdyś wszystkich żywo zajmował, lecz z przeciągiem czasu zatarł się już był w pamięci ludzkiej.

— Uczucie ojcowstwa nie znane jest nam wprawdzie, jako zakonnikom — mówił do nich — mimoto rzadko kiedy doznałem tak smutnego wrażenia, jak w 1392 roku, kiedy mnie doszła wiadomość o śmierci tych nieszczęśliwych dzieci, które były powierzone opiece Zakonu i zgasły w świętej wonności swoich lat niewinnych.... Wiecie o kim mówię, boście te dzieci znali wszyscy trzej. Ich łagodność, słodycz, uprzejmość — ujmowały serce każdego. Nasz Kościół święty słusznie stosuje nazwę aniołów do dzieci zgasłych w ich wieku. Przypisywano śmierć obudwu zaraźliwej chorobie, która podówczas w Królewcu między dziećmi grasowała, i według przekonania każdego z nas nie mogło być innej przyczyny. Czyż nie tak, drodzy przyjaciele?

— W rzeczy samej, najprzewielebniejszy panie! — odrzekł wielki komtur. — Takie i dziś jeszcze mamy przekonanie, bo i komuż dwoje niewinnych dzieci mogło być zawadą? Przypominam sobie nawet, że niektórzy przełożeni, w zbytnej surowości, obwiniali ówczesnego marszałka Zakonu, Engelharda von Rabe, o brak czujności i troskliwego dozoru nad dziećmi powierzonymi jego opiece; jakgdyby ustrzeżenie ich od powszechnej choroby zostawało w mocy człowieka.

— Tak jest — rzekł z kolei hrabia Wende — każdy z nas spoglądał ojcowskim okiem na tych dwóch chłopczyków, tem więcej, że z powodu okoliczności politycznych znajdowali się w takim położeniu, iż mając ojca i matkę, byli prawie sierotami. Biedne dzieci! Co się tyście ś. p. marszałka Rabego i ja sam go obwiniałem... bo mając pod sobą zamek królewski, mógł być łatwo przeciąć wszelką komunikację z miastem, gdzie choroba panowała, i nie dopuścić zarazy do dzieci oddanych sobie pod opiekę; czego, oile mi wiadomo, nie uczynił. Powinien był pilnować ich, jak oka w głowie; nie mówiąc już bowiem o względach, które się wiekowi niewinnemu należą, honor Zakonu związany był z zachowaniem ich przy życiu.

— I jakże surowy jest wasz sąd, szlachetny hrabio! — odezwał się podskarbi Hecke. — Nieboszczyk marszałek z samego urzędu swego musiał ciągle wyjeżdżać z Królewca.

— Tem gorzej, bracie Arnoldzie! — odrzekł Wende — wiedząc o tej konieczności, nie powinien był podejmować się takiego obowiązku. Tem gorzej nawet dla samej kapituły, która domagała się oddania sobie tych drobnych dzieci, gdyż im czułe starania matki, nie zaś zimna opieka rycerzy-zakonników, była potrzebną. Nasz zakon nie powinien był brać na siebie takiej odpowiedzialności.

— Podzielam to zdanie, bracie Albrechcie! — odezwał się wielki mistrz. — Ale posłuchajcie!... posłuchajcie! — dodał głosem stłumionym — wczoraj wieczorem trzymałem ostrzeżenie bezimienne, na które włosy powstały mi na głowie. Powtarzam je wam dosłownie, nie nie dodając, ani ujmując:

„Krew dwojga niewinnych dzieci, otrutych w Królewcu, napróżno przez lat piętnaście woła o pomstę! Masz prawo i miecz sprawiedliwości w ręku: rozkaż ukarać winowajców! Pamiętaj, mistrzu, że i sam staniesz kiedyś przed straszynym sądem Bożym i złożysz rachunek z twych rządów!”

Trzej dygnitarze pochyliłi głowy w milczeniu. Zgroza i zdumienie odjęły im mowę.

— To niepodobna! — zawołał nareszcie komtur Wende: — Żaden rycerz zakonny nie odważyłby się na tak haniebną i nikczemną zbrodnię!

— Dalby Bóg i nasz Sędzia w niebie, izby ten list bezimienny był tylko potwarzą wymyśloną na zatrucie ostatnich godzin mojego życia! — odrzekł mistrz uroczyście. — Lecz jeżeli to prawda?

— Jeżeli to prawda — rzekł wielki komtur groźnie — to nie masz zbyt srogich męczarni dla mordercy. Niech wasza przewielebność rozkaże go osądzić i ukarać według całej surowości prawa, bez litosci i względu na jego stopień w zakonie!

— Zapominasz, mój bracie, że mówisz do umiarkowanego — przerwał mu wielki mistrz. — Dziś, jutro, śmierć zamknie mi powieki, a moja władza, zmienawidzona od ludzi występnych, przejdzie w ręce drugiego. Któż zresztą jest tym winowajcą? Dlaczego ów list go nie wymienia? Po latach piętnastu ślady okropnego czynu musiały się zatrzeć i nie łatwo je wykryć... potrzeba na to czasu, którego już ja nie mam na tej ziemi, chociaż mam całą wieczność przed sobą; ale wy, bracia moi, wy, zakonnicy prawi i rycerze bez zarzutu, podniesiecie tę sprawę w imieniu świętej sprawiedliwości. O i czemuż podówczas sklepienia zamku królewskiego nie runęły na przekłątą głowę mordercy! Lecz sprawiedliwe są zrzádenia Opatrzności. Wyrok Boży skazał go na długie życie w zgryzocie i śmierć bez żalu za grzechy, bez świętej pokuty!

Głos mistrza osłabł i trzej dygnitarze, oszczędzając jego siły, powstali już i mieli się ku odejściu, kiedy on jeszcze ich zatrzymał:

— Dziękuję wam, bracia moi, za waszą przyjaźń. Podajcie mi dłonie na wieczne pożegnanie! Lecz jeszcze ostatnia prośba!

— Słuchamy was, najprzewielebniejszy mistrzu!

— Wiadomo wam, że mój brat według ciała, Ulyrk Jungingen, ma w Zakonie liczne stronnictwo za sobą.

— Wiemy, dostojny panie!

— Otóż, zaklinam was na świętość naszej przyjaźni, na waszą miłość dla Zakonu, starajcie się wszelkimi siłami przeszkodzić jego obiorowi na wielkie-mistrzostwo; bo obiór Ulyrka Jungingen, to wojna z Polską i Litwą i zguba Zakonu!

W kilka dni potem brat Konrad von Jungingen, wielki-mistrz zakonu teutońskiego N. P. Maryi Jerozolimskiej, mąż pełen prawości i surowy zakonnik, spoczął w grobach kaplicy św. Anny, obok swych drapieżnych poprzedników.

— Umarł przecie! — rzekł Markward Salzbach do Henryka Schwelborn, kiedy wracali z jego pogrzebu — Chmura brzemienia piorunami i zagłada naszą, wisząca przez lat tyle nad naszymi głowami, rozeszła się nareszcie... Z jakąż rozkoszą modliłem się dziś za wieczny spokój jego duszy! Przeżyliśmy go nakoniec i stosownie do gdańskiej przepowiedni przeżyjemy jeszcze drugiego, który ma zginąć w owej wielkiej bitwie... Konrad poszedł już do raju po zapłatę za swoje cnoty zakonne; ale kto po nim nastąpi? Oto jest kwestya, od której spokój naszego życia zależy. Może jego następcą będzie ten drugi fanatyk, komtur Wende? Do tysiąca dyabłów! Nie-byśmy w takim razie nie zyskali na zamianie.

— Od powietrza głodu i ognia, od wielebnych: Hecke, Lichtensteina i Wendego, zachowaj nas Panie! — odrzekł Schwelborn.

— Amen! — rzekł znowu Salzbach, śmiejąc się cynicznie. — Niech im Bóg w miłosierdziu swoim raczy dać jaknajrychlej królestwo niebieskie! Wolę się modlić za ich wieczny odpoczynek, niż za szczęśliwe ich władanie zakonem w tem życiu doczesnem.

Komtur Markward von Salzbach był w promienięjącem usposobieniu: niebezpieczeństwo, które mu groziło, minęło razem z życiem wielkiego mistrza, którego tyłkoco pochowano. Szło mu jeszcze o to, izby żaden rycerz, szanujący prawa ludzkości, nie został obrany na miejsce zgasłego Konrada v. Jungingen, i natchniony tą obawą, wymienił Schwelbornowi kilku swoich przyjaciół, wprawdzie ludzi wpływowych, lecz słynnych z przewrotności i rozwiązłości obyczajów.

— Żaden z nich nie przejdzie — odrzekł mu

ten ostatni — i pozostaje nam już tylko jedno popierać Ulyrka von Jungingen. Ten odrazu zaprzętnie się projektami wojennymi i uwaga jego odwróci się od wewnętrznych spraw Zakonu.

— Niech będzie zresztą i Ulyrk Jungingen! — odpowiedział Salzbach. — Tępa to wprawdzie głowa; ale tem lepiej, zwłaszcza dla nas. Łatwo mu będzie podburzyć wszystko, co zechcemy, a nade wszystko zajątrzyć stosunki Zakonu z tym przeklętym Witoldem, którego piekło wyzionęło z siebie na zgubę nasze.

— Lecz, aby Ulyrk został obranym — zauważył Schwelborn — trzeba mu zapewnić większość głosów. Sonnenberg może nam w tem wielce pomódz. Jego wpływy sięgają daleko. Sonnenberg ma dziwny dar przekonywania swoją wymową, i byleby tylko zechciał, może przyczynić się potężnie do obioru Ulyrka. Pojedziemy do niego wprost ztąd.

— Przyznam ci się, bracie Henryku, że wolałbym do piekła pojechać. Ale cóż czynić? O takim sprzymierzeniu nie podobna zapomnieć. Przytem jego interes jest taki sam, jak nasz. Wielki mistrz, przeczorny i utrzymujący przyjazne stosunki z Witoldem, mógłby nas zgubić wszystkich trzech.

— Stanęło więc na tem, że pojedziemy — rzekł Schwelborn. — Zdaje mi się przytem, że Sonnenberg teraz nie pije. Słyszałem nawet, że pości i modli się. Zresztą, ostatnim razem, kiedyśmy go widzieli, był zupełnie spokojnym.

## VI.

W kilka dni potem, dwaj komturzy przyjechali do Ragnety, której ówczesnym przełożonym był Sonnenberg. Sposób jego życia w ostatnich latach zmienił się w rzeczy samej. Zastali go siedzącego samotnie, w wielkiej gotyckiej sali, przy skromnym postnym obiedzie.

W chwili, kiedy weszli, jakiś młody sługa ukazał się we drzwiach przyległej komnaty, czekając na rozkazy swojego pana.

— Bracie Andrzeju! — przemówił Schwelborn. — Nie byleś na pogrzebie zgasłego mistrza: a zatem przyjechaliśmy do ciebie, naradzić się nad sprawami zakonnymi.

Sonnenberg skinął na swojego sługę i gdy ten zbliżył się do stołu, dał mu jakiś rozkaz na migi.

— Cóż to? — zapytał Salzbach. — To pewnie niemowa?

— Tak jest, to głuchoniemy. Rozkazałem mu podać jedzenie. Wybaczcie jednak, panowie, że ani mięsem, ani winem częstować was nie będę. Dziś jest Sobota, a zatem dzień postny.

Dwaj goście spojrzeli po sobie. Sonnenberg ukazał im w milczeniu krzesła; komturzy usiedli i niemy sługa, podawszy dwa narkrycia, przyniósł wkrótce potem i jedzenie.

— Niemasz pewniejszych sług nad głuchoniemych — zauważył Salzbach.

— Dlatego też takiego przyjąłem do mojej służby — odpowiedział Sonnenberg. — Rzadki to człowiek i mimo głuchoty wcale pojętny. Odgaduje wzrokiem myśli i życzenia moje, i co najważniejsza, nie potrzebuje do niego mówić.

Po tych kilku słowach Sonnenberg pograżył się w milczeniu i tylko gestem zaprosił swych gości do pożywienia się skromną strawą, którą im podano. Obraziliby się oni bezwątpienia o takie przyjęcie, gdyby do kogo innego przyjechali, lecz od niego, zwłaszcza potrzebując jego poparcia, musieli znieść z zimną krwią ten brak uprzejmości, tem więcej, że i jego samego nad takim samym obiedem zastali. Pomyśleli tylko sobie, że szczerą im prawdę powiedziano o zaszłej w życiu codziennem Sonnenberga zmianie. Cieszyli się nawet, że wina nie ukazały się na stole; bo pubar w ręku Sonnenberga straszliwie bywał niebezpiecznym.

Temczasem Schwelborn zapytał go: co myśli o położeniu Zakonu po śmierci zmarłego mistrza?

— Nie mam o niem jasnego pojęcia — odrzekł Sonnenberg. — Nie znam wcale spraw bieżących.

— Jeżeli tak, bracie Andrzeju, to pozwolisz nam wynurzyć nasze...



— Słucham panów.

— Skutkiem długoletniego uspienia w pokoju nasz sławny Zakon traci coraz więcej swoje znaczenie między mocarstwami. Nasi potężni sąsiedzi podnoszą głowę. Sama Żmujdz nie jest już tak pokorną, jak dawniej bywała.

— Być może—odpowiedział Sonnenberg i znowu umilkł.

— W takim składzie rzeczy wybór nowego mistrza jest sprawą najwyższej wagi. Nie chcemy drugiego Konrada Jungingen, któryby, myśląc jedynie o postach, modlitwach i karności zakonnej, tak potężne mocarstwo jak nasze nanowo w niezmierny klasztor zamienił, zamiast powiększenia go nowymi podbojami. Wielki mistrz, nie z mieczem, ale z różańcem w rękę, nie odpowiada wcale dzisiejszemu położeniu i dążnościom Zakonu.

— To obierzcie sobie takiego, któryby widokom waszym i kapituły odpowiadał—odrzekł Sonnenberg.

— W tej to właśnie sprawie przyjechaliśmy do ciebie, bracie Andrzeju!—przemówił Salzbach.

— I w czymże to mnie dotyczy?

— W czym? Nie rozumiemy twego pytania. Jak to? Jeden z najwaleczniejszych rycerzy teutońskich, komtur i członek kapituły, a przytem człowiek pelen rozumu i doświadczenia, powiada nam, że go najważniejsza sprawa nie dotyczy?

— Cóż dalej, kommandorze?—zapytał Sonnenberg.

— Liczymy na twoją pomoc, bracie Andrzeju! Znamy twoje stosunki i wpływy. Twój głos ciągnie za sobą kilkanaście innych i stanowczych głosów. Pragnęlibyśmy obrać wielkim mistrzem dzisiejszego marszałka zakonu, Ulyka von Jungingen.

— I cóż mnie Ulyk Jungingen obchodzi?—odparł Sonnenberg.

— Ależ dobro zakonu, bracie Andrzeju!

— Dobro zakonu? Wiedziecie, że mówicie do trupa, który jeszcze porusza się machinalnie, ale przestał już czuć i myśleć! Umarłem dawno dla waszego zakonu.

— Cóż za nowe dziwaństwo?—zawołał Schwelborn, tracąc cierpliwość, i gdy Sonnenberg na tę apostrofę nie odpowiedział, dodał z ironią:

— Ten człowiek zamienił się w mnicha; wystąpił dobrowolnie z grona rycerskiego!

— Bracie Andrzeju!—odezwał się Salzbach.—Namyśl się i daj nam odpowiedź zgodniejszą z twojem powołaniem.

— Nie usłyszycie ode mnie innej nad tę, którą wam dałem. Czego ode mnie chcecie? Po co przyjechaliście? Cóż ja dziś mam wspólnego z zakonem? Co zakon ze mną? Nasze węzły już dawno rozerwane.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Na przelomie sztuki polskiej, przez F. K. Martynowskiego, Warszawa, 1882; nakładem Teodora Paprockiego i Spki; w drukarni Emila Skińskiego, in 8-o min., str. 77.

Rzadkiem zjawiskiem jest u nas wszystko, co się myśli i pisze o sztuce ze stanowiska sztuki. Mamy mnóstwo, aż zawiłe, przeglądów artystycznych po czasopismach; ale rzeczywistość estetycznej krytyki, zdań głębszych, wyroków, któreby nigdy i prawdy i zdrowego rozsądku nie obrażały, prawdziwego sądownictwa, sprawowanego przez sumiennosc i pięknoznanstwo nad bieżącymi utworami sztuki rodzimej,—w ogóle dotychczas nie posiadamy. Wyjątek stanowi tu dwóch może trzech pisarzy, których nazwisk światłemu czytelnikowi przypominać nie potrzeba. Rzadsze jeszcze od sumiennych a rozumnych przeglądów krytycznych są badania dziejowe i rozprawy zasadnicze, zwłaszcza o sztuce polskiej. Literatura estetyczna Zachodu o sztuce zachodniej jest tak obfita, tak bujna, tak piękną, że dzięki zasobom przez nią dostarczanym można nietylko gładkie rozprawki, ale i dzieła całe zpod pras drukarskich

wyprowadzać. Inna jest sprawa ze sztuką polską: zabytków jej mamy bardzo mało, znających się na tych zabytkach jeszcze mniej, a podobno i w ogóle ludzi czytających niewiele znajduje się takich, którzyby nastawiali ucha dla usłyszenia czegoś o przeszłości sztuki własnej. Zmysł historyczny jest u nas jeszcze bardzo słabym; nie chcemy poznawać przeszłości w całym ogromie, na całym obszarze jej życia, nieuprawiamy tej szlachetnej sztuki dla sztuki, która się wiedzą dla wiedzy nazywa. Jedni w książkach historycznych szukają powieści, inni odbicia własnych teoryjek, inni wreszcie ograniczają historią tylko do polityki: nie ich innego nie zajmie, nie wzruszy, nie przyciągnie.

W takich warunkach piśmiennictwo nasze, poświęcone sztuce w dawnej Polsce nie mogło się rozwinąć; i możemy sobie z ręką na sercu powiedzieć, że go dotychczas jeszcze nie mamy. Rzecz jasna: poważna literatura naukowa z poważnej tylko wiedzy, z gruntownego poznania wypływa; dopóki więc takiej wiedzy niema, wszystko co się w danym kierunku i zakresie napisze, może być w najlepszym razie tylko przygotowaniem do naukowego zbadania, przetrawienia i opracowania. Nasza naukowość estetyczno-dziejowa nie wyszła jeszcze z okresu zbierania; zbieraczami też byli wszyscy ci, którzy cośkolwiek dla niej trwalszego zrobić usiłowali. Zarówno wydawnictwa Gąsiorowskiego, Rastawieckiego, Przędzieckiego, J. I. Kraszewskiego, Podczaszyńskiego, Sobieszczańskiego, Łoskiego, jak i wyżej od nich w hierarchii naukowości stojące prace Kommissji do badania sztuki w Polsce przy Akademii Umiejętności—ten przygotowywały tylko posiadają charakter. Ciągłe jeszcze, nie mając pewności przeświadczenia, chwiejamy się w domysłach. Stojący przy wielkim oltarzu, p. p. Łepkowski, Łuszczkiewicz, Sokołowski, tak samo się mylą we wnioskach, jak i dalsi, jak mylili się ich poprzednicy: pozbawieni są bowiem niezawodnych, od błędu ochraniających, przesłanek z faktów niewzruszonych. Oile można już dziś mówić o krytycznej historii sztuki w Polsce, można też i p. Łepkowskiemu nazwać jedynym dziś naszym historykiem rodzimej sztuki plastycznej. Wie on dużo z własnego poznania; a to, co pozna, własnym estetycznym sądem roztrzaskać, ocenić, na regestra dziejów wprowadzić umie. Redakcyja nowego wydania Słownika Naglerowskiego dobry uczyniła wybór, gdy p. Łepkowskiemu powierzyła wszystkie artykuły o sztuce polskiej: nie mieliśmy nikogo lepszego i spodziewać się należy, iż przedstawiciel nasz wywiąże się z obowiązków swoich w sposób godny, i imienia naszego, i zarazem tak pomnikowego wydawnictwa.

Jak w wielu innych dziedzinach, tak i w tej na którą obecnie wzrok rzucamy, nauka nasza potrzebuje pieniędzy, pieniądzy i jeszcze raz pieniądzy. Trudno! trzeba sobie powiedzieć, że sztuka jest zbyt dla społeczeństw ubogich. Czują to artyści nasi, czuć muszą i badacze sztuki dawnej. Chcąc mieć cośkolwiek stałego, potrzeba najpierw zabytki naukowe opisać i odtworzyć, tak jak je odtwarzać zaczęła wspomniana kommissja Akademii. Jeżeli praca ma być porządną, wypadła kraj cały wzdłuż i w szerz, za przykładem Napoleona Ordy, przejechać. Grono ludzi znających historią sztuki powszechnej, a czynniki sztuki polskiej, obdarzonych przytem talentem estetycznego sądu, powinno zbadać i odrzysować wszystkie estetycznie wybitne pomniki. Co zrobiono z Opactwem Sulejowskiem n. p., to zrobić potrzeba ze wszystkimi zasługującymi na to zabytkami przeszłości. Dopiero zestawienie wszystkich pomników jednorodnych, porównanie ich z zagranicznymi, oznaczenie ich wieku, wyjaśnienie warunków wytwórczych, wyodrębnienie różnic w stosunku do sztuki zachodniej: da nam rzeczywistą prawdę dziejową o sztuce naszej. Tego wszystkiego potrzeba dla historii, a dla tego wszystkiego potrzeba znowu ogromnych nakładów: tylko ludzie zamożni lub silnie oparci o kieszenie szczyrych mecenasów mogą się skutecznie badaniami nad sztuką zajmować. Sama Akademia jest tak ubogą, że zagranicą pierwszy lepszy nakładca podejmuje większe wydawnictwa niż to, na które bez niebezpieczeństwa dla siebie odważyć się mogła najwyższa nasza in-

stytucyja naukowa. Nie lekajmy się powiedzieć sobie tej smutnej prawdy, że zarówno na sztukę żywą, jak na naukowe wskrzeszenie umarłej, braknie nam niezbędnych środków materialnych, braknie może i serc, któreby szlachetną dumę swoje, chęć błyszczenia w społeczeństwie, żądzę znaczenia w niem i wpływu, kierowały na cele i zdobycze naukowe i artystyczne. Porównani z taką Anglią, a choćby tylko z Niemcami, jakże mizernie wyglądamy!

Musieliśmy to wszystko powiedzieć dla określenia stanowiska, jakie zając wypadła wobec rozprawy p. Martynowskiego: nie można zbyt wiele od niej wymagać, bo wiemy jak mało dać jej mogła dzisiejsza nasza wiedza o przeszłości piękna plastycznego w Polsce. Autor jest jednym z najbardziej zamiłowanych pisarzy zajmujących się u nas sztuką dawną; nie możemy go jeszcze nazwać znawcą, nawet względnie do istniejącej już dziś możliwości poznania, ale przyznajemy mu szczerą chęć rozjaśnienia mroków dziejowych, szczerą troskę o rozwój pięknotwórstwa rodzimego w duchu prawdziwie rodzimym i gorącą chęć wskazania dróg, na których rozwój ten, zdaniem jego, byłby możliwym. Sama rzadkość literackiego zjawiska, obok z dawnych lat jeszcze pozostałego nam zamiłowania przedmiotu, zwróciła uwagę naszą na rozprawę, nad którą tu kilka spostrzeżeń uczynić chcemy.

P. Martynowski przebiega szybko koleje sztuki naszej od czasów jeszcze przedhistorycznych do najnowszych i, szarykteryzowawszy główne jej pomniki w każdej epoce, stara się przekonać czytelnika, żeśmy nigdy własnej swojej sztuki nie mieli. Zdaniem jego, sztuce naszej brakło nietylko własnego wielkiego gościńca, ale nawet i dróg ubocznych, prowadzących, jeśli już nie do wytworzenia własnego stylu, to przynajmniej do utrwalenia własnych odmian stylowych. Kronikarze niemieccy, opisujący życie, kraj, ludzi i dzieje Słowian Nadbałtyckich, zachwycają się pięknoscą świątyń i wyobrażeń bogów słowiańskich; ale autor, za p. Sadowskim, przypomina tu wpływy fenickie, greckie i rzymskie. Później, w epoce romanizmu, posiadliśmy dzieła takie, jak kolegiata w Kruszwicy, tum pod Łęczycą, kościół św. Andrzeja i krypta Ś-go Leonarda w Krakowie, katedra płocka, kościół św. Idziego we Wrocławiu, kościółek w Gieczu,—a dodalibyśmy jeszcze: kościół św. Jakóba w Sandomierzu; ale w tem wszystkim widać pierwiastki obce, nie narodowe. Podobnie i w późniejszym budownictwie cysterskim, pierwowzory pięknych jego szczegółów napotyka się za granicą. W epoce gotyckiej nashiadowaliśmy budowle Meklenburgii i Pomorza: a styl wiślano-bałtycki, na którym chcieliśmy oprzeć samodzielność pięknotwórstwa narodowego, przyswoili sobie ojcowie nasi od Krzyżaków. Tego zdania jest p. Łepkowski i autor powołuje go sobie na świadka, krusząc kopie z p. Łuszczkiewiczem, który w odczytciu tegorocznym w Warszawie. *Pionierowie gotyckiej sztuki w Polsce*, przyznał sztuce naszej posiadanie własnego ostrołuku, a na dowód tego ukazał: kościół maryacki, kościoły w Tarnowie i Krośnie. Pan Martynowski ogranicza samodzielność tylko do ornamentyki i ośmiokątnej kształtu wież, a głównie do ich uwienczenie, z drobnych złożonego wieżyczek. Po dniach gotyckiej sztuki odrodzenia w Polsce jest na wskroś włoską; pięknym pomnikiem, które autor na str. 20 wylicza, braknie charakteru narodowego. Stawiali je Włosi lub inni cudzoziemcy; a jeśli się zdarzy Polak, to ten czuje, myśli i pracuje powłosku.

Tyle o architekturze. A rzeźba i malarstwo? Najpierw przygniatał je bizantyzm, później gotyckim; to drugie ujarzmienie stwierdza autor na podstawie potępiającego wyroku Kremera. Wyrok ten wobec dziejów sztuki niemieckiej i włoskiej (do początków XV wieku) wydaje nam się niesprawiedliwym. Same grobowce gotyckie na Wawelu, lepsze od inno-stylowych, spromienione już, choć słabo, myślą narodową, powinny być ostrości wyroku przytepić. Ostatecznie, zapatrzony na Stwosza, p. Martynowski przyznaje, że rzeźba polsko-gotycka z XV wieku przedstawia się „datnio w stosunku do powszechnych dziejów sztuki”. W gorszych warunkach znajduje się rzeźba



Odrodzenia. Nic w oczach autora nie znaczą grobowce Jagiellonów, Batorego, Jana Tarnowskiego, w Krakowie i Tarnowie; sama kaplica Zygmuntowska jest nawskróś toskańską. Cudzoziemcy ster dzierżają.

Z kolei staje przed sądem malarstwo. Rastawiecki aż trzy tomy malarzami polskimi zapełnił; ale polskich w tym tłumie nie znajdziemy. Nikt, ani Suessa, ani Dolabelli, ani Bacciarellego lub Canaletta, w tem znaczeniu polskim artystą nie nazwie. Szkoła polska w malarstwie nie istnieje aż do ostatnich czasów. Freski w Łędzie pod Kaliszem, są tak słabe, że niema o nich co mówić. Do drugiej połowy XV wieku chwiejemy się pomiędzy Wschodem i Zachodem, niemając nawet własnych malarzy; wtedy dopiero powstaje szkoła krakowska, ale i ta odbija tylko echa z Wrocławia, Pragi i Kolonii, choć ją p. Łuszczkiewicz za samodzielną szkołę malarstwa polskiego uważa. Dla autora charakter rodzimy posiadają tylko miniatury z początku XVI wieku, malowane przez bernardyna, brata Józefa. Malarstwo XVI w. ukazuje się p. Martynowskimi w zwierciadle, jakie przed nim postawił p. Pawłowicz, dyrektor Muzeum Ossolińskich, w swej mowie obchodowej z 1881 r. pod tyt.: *Rzut oka na stanowisko malarstwa polskiego w obec sztuki u obcych*. Zwierciadło mówi, że te czasy Złotego Wieku są dla sztuki naszej najmniej pomyślne. Idźmy dalej. Malarstwo XVII wieku jest religijno-tendencyjnym, bez wartości artystycznej i „silnych przymiotów narodowych”. A więc mogły być przymioty *nie-silne*, i jakkolwiek słabe, ale *narodowe*. „W XIX dopiero wieku zjawiają się Chodowieccy, Stachowicze i Orłowsy — lepiej było powiedzieć: „Orłowsy i Stachowicze”. Malarstwo XIX wieku rozwija się już samodzielnie i ponieważ charakterystyka jego nie przynosi nic dla głównego historycznego założenia dzieła — pomijamy je w tem streszczeniu. O Chodowieckiego spierać się nie będziemy: talent, jako dzieło natury, jest polskim, ale talent, jako robotnik, tak a nie inaczej uzdolniony do roboty, nie wydaje się nam polskim; w każdym razie Niemcy mają większe do niego prawo.

(Dokończenie nastąpi)

## CICHA PRACA.

Czy ogarniały cię, czytelniku, kiedykolwiek te same, co i mnie myśli, na widok drobnuchnej, okrągłej, perlistej kropelki wody?

Ten ułomek — mówiłem nieraz do siebie — ogromnej, wyrazić się niedającej siły, nawet nazwy żdźbła potęgi nie warty, zebrany jednak w ocean, rwie lądy, zwała całe góry, może nawet postać ziemskiego obszaru w jednej chwili odmienić.

Za takie niedojrzane w działaniu swem i postaci żdźbła potęgi w oceanie moralności powszechnej uważam wszelkie działanie użyteczne a zacne dla innych, każdy czyn poświęcenia, najczęściej w cieniu przed światem się ukrywający. Do rzędu takich objawów działalności ludzkiej, przynoszących społeczeństwu dobro, kropkę po kropki, należą odniedawna mi wiadome czyny panny — nazwijmy ją Blandyną X.

Któż to jest ta panna Blandyna? Chcąc odpowiedzieć wyczerpująco, potrzebaby dać całe studium nad tą piękną duszą kobietą; odpowiem tylko w krótkości: — Panna Blandyna jest jednym z fiołków woniących w ukryciu swem przed światem. Nie mogę przeto żadnym bliższym szczegółem objaśnić jej osobistości, aby nie obrazić w niczem tej wielkiej skromności, pracującej w Bogu — dla ludzi.

P. Blandyna, jest to, jeśli chcecie, wyrażając się po światowemu, pospolitość, powszedniość, którą się mija, nie zwracając na nią uwagi. Uboga, niemłoda, nie ładna, krępa, niska, o oczkach małych, nieuderzających wyrazem; mówiąc, lekko szepleni, a nawet cokolwiek się jąka; umysł jej wcale nad powszedni poziom się nie wzbija, choć nie jest wcale pozbawiony wiadomości. Piękna tylko dusza, złote serce, sprawiają, że ta pospolitość w szcuplem swoim kółku jest rodzajem potęgi i przez

to tylko, iż jak szatan kochać, tak Blandyna nie-nawidzieć nie umie, życie swoje zamieniła w istny poemat, uczyniła je niepospolitą i sama też umiała stać się niepospolitą.

P. Blandynę możnaby najpierw nazwać Siostrą Miłosierdzia; pielęgnuje ona chore, starce i kaleki, dozoruje drobne dzieci, składa ich ręce do modlitwy i tego, co sama umie, potrosze ich uczy, przy ciągłej, ręcznej, na chleb pracy. Mimoto, trudno ją właściwie nazwać nauczycielką, lubo za dziesięć innych zdrowym wpływem swoim stanie. Wiadomo mi, że, nie mając do tego odpowiednich kwalifikacyj, przebywała różne administracyjnej natury trudności — szczęściem usunięte przez ostateczną wyrozumiałość, która jej się należała z tytułu jej chrześcijańskich uczuć i dążeń.

Jeśliby kto chciał zyciorysu, którego zapewne żadne echa żadne sławy nie powtórzą, powiemy, że p. Blandyna, urodzona około 1849 r., w osmnaściej życia wiosnie znalazła się w najtrudniejszym położeniu.

Rok 1867 był dla niej prawdziwie nieszczęsnym. Ojciec jej, urzędnik sfer niższych, znalazł się nagle bez miejsca i chleba, bez żadnego zgola prawa do emerytury lub wsparcia.

Zmartwienie wpędziło ojca Blandyny, podstarzałego już człowieka, na łożo boleści, z którego, na szczęście swoje, nie powstał już więcej; przeniósł się do krainy wiecznej szczęśliwości i sprawiedliwości. Śmierć jego złożyła śmiertelną chorobą żonę jego i siostrę jej a ciotkę Blandyny. Obie kobiety uchroniły się wprawdzie od grobu, ale jedna z nich, matka, pozostała w ruchach swych prawie bezwładną, o własnych siłach łóżka opuszczać niezdolną; druga zaniewidziała nawzawsze.

W tak smutnym położeniu, bez jednej skargi, bez utyskiwań próżnych, nie tracąc z zasobu ogólnej miłości dla ludzi, chociażby nawet prześladowców; na chwilę nie pomyślawszy o wyzyskiwaniu pomocy czyjejs, oburzając się na samą myśl wyciągania ręki po jałmużnę, p. Blandyna znalazła w swem młodocianem sercu większy zapas energii niż dziesięciu mężczyznom.

Postanowiła odrazu pracą swą utrzymać dwie drogie sobie kaleki i siebie, w sposób, ile można, najprzyzwoitszy.

Względy ekonomiczne kazały jej zamieszkać w nieznanym światu osadzie; niby pół miasteczku — pół wsi, wśród zdziczałych prawie mieszkańców, eksploatowanych przez kuglarzy, którzy im raj na ziemi bez usilności i pracy śmieli jako całkiem pewny obiecywać. Tu się zajęła głównie — praniem tiulików do czepców z różnych chłopek i mieszczanek, robieniem z różnym odpadków czapek dla dzieci. Niewidoma mogła jeszcze, na obstalunek zamożniejszych żydówek robić pończochy, na handel skarpetki. Wszystko, to razem złączone, dawało gromadce jakikolwiek chleb powszedni. Znaleźli się jednak tak niegodziwi ludzie, którzy i tej pracowitej nędzy biednych kobiet pozazdrościli. Kilka razy oskarżano p. Blandynę, że za swoje dorywcze zarobki, opłat żadnych nie składa; że uczy dzieci kochać Boga i ludzi, nikogo nie pytając; że lekceważy sobie to i owo.

Były to chwile najprzykrzejsze dla entuzjastki: musiała piechotą chodzić mil siedm, aby wytłómaczyć się, jak umiała, iż nic zdrożnego nie robi, a obowiązek wnoszenia opłat do niej rozciągać się nie może.

Przypadkowa podróż pozwoliła mi poznać tę rzadką kobietę.

W sierpniu roku przeszłego, upał, zmęczenie koni kazało mi w osadzie, zamieszkałej przez p. Blandynę popasać. Widząc przez środek wsi błotnistą, świeżo wykończoną grobelkę, wierzbanami zieleniejącą obsadzoną, mimowolnie spotkanego obywatela zagadnąłem, rozrywając się wśród nudów popasu:

— Musicie mieć dobrego wójta, że tak o poprawie drogi pamięta....

— To nie żaden wójt, ją robił, ale my sami, za namową p. Blandyny, zrobiliśmy — odpowiedział.

— Ale macie świeżo sadzone drzewka owocowe dokoła domowstw i w ogródkach ule z pszczołami, przez to domy starannie ogrodzone; dlatego osadka wasza, chociaż uboga, mile wygląda.

— To także do tego namówiła nas p. Blandyna; umie ona drzewka szczepić, a pszczoł się wcale nie boi, bo na to ma takie już słowa, że ją nie ukąsi żadna, choćby chciała.

Powtarzanie to imienia Blandyny zaczęło mnie zaciekawiać. Któż to jest ta p. Blandyna? — mimowolnie zapytałem — pewno panienka ze dworu czy pałacu....

Na to pytanie pocziwiec wzruszył ramionami: — Nasze panny z pałacu! My ich wcale nie znamy; rzadko kiedy tu przyjeżdżają; bawią ciągle w Warszawie albo za granicą; a jednak — dodał z westchnieniem — tasama-to krew, co i tego Wojewody, który nam za króla Stefana nadał grunta, pastwiska, wrąb wolny do lasów. Na to wszystko starszyzna nasza chowa dokumenta na pergaminie, ale kiedyśmy o to dworowi wytoczyli przed trzydziestu laty proces, przyjechali sędownicy z Warszawy i powiedzieli, że to zadawnione i mówić o tem nie wolno. Bo nasze miasto dawniej to było brukowane; do tego murowanego dźiś w polu krzyża — stały tam precz domy; byli u nas jubilerzy, nawet drukarnie dwie i duże szkoły.

Przerywając mu te wspomnienia archeologiczne, o których ze *Starożytnej Polski* lepiej od niego wiedzieć mogłem, spytałem: gdzie mieszka ta p. Blandyna?

— A gdzieżby indziej? — odpowiedział — jeno w chrześcijańskiej gospodzie.

— To macie chrześcijańską gospodę tutaj? Któż ją założył?

— A no — odpowiedział — dziedzic dał chałupę, ksiądz zebrał pieniądze, a o wszystko starała się i krzątała p. Blandyna.

Nie byłem nigdy w podobnym zakładzie; słyszałem, że pierwszy tego rodzaju otwarty został pod wpływem pani z Mielżyńskich Jagminowej, żony właściciela Ossy w Opoczyńskim, w podobnej ubóstwem osadzie Odrzywół; podwójna więc ciekawość: poznania p. Blandyny i organizacji wewnętrznej tego rodzaju pobożności zakładu, zaprowadziła mnie w jego progę.

Po uchyleniu drzwi i powitaniu słowami: „Niechaj będzie pochwalony!” znalazłem się w obliczu p. Blandyny *in persona*, w izbie odznaczającej się schłodnością. Były tam kwiaty, franeczki, stoły i stolki proste, ale często myte, zarówno jak ławy; na domiar zdziwionemu memu oku, ukazały się półki z jakimiś książkami, ryciny na ścianach, a nawet jakiś staruszek, bodaj Buchholtza jeszcze firmy, fortepian.

Odżywianie ciała widocznie tu mało miano na względzie, bo prócz lśniącego od czystości samowara, przekąsek z chleba z masłem, posypanego szczypiołem, bułek, serków, gomółek, nie na skromnym bufeciku nie dostrzegłem. Zażądałem szklanki herbaty; zacząłem przeglądać ryciny zawieszane po ścianach: znalazłem je wszystkie dobrane trafnie. Były to głównie wycinki z pism ilustrowanych, kolorowane przez p. Blandynę, jak mi później ona sama z rumieńcem skromności wyznała. Zbiór książek powstał z ofiar domów możniejszych; wiele było tam dziełek niepełnych, zdefektowanych, ale żadnego takiego nie dostrzegłem, któreby w rękach prostaczków znaleźć się nie mogło. Rozglądając się po lokalu z ciekawością dojrzałem zaraz obok szczupły alkierzyk, w nim czysto usłane łóżko, mieszczące niewstającą paraliżkę, w tej chwili zajętą odmawianiem modlitwy, którą za siostrą powtarzała niewidoma siedząca na skrzyni, nieustannie robiąc pończochę. Przez sieni była duża izba, służąca jednocześnie za kuchnię, pralnię i ochronę dla dzieci; tam bowiem poszła po węgle do samowaru p. Blandyna, tam dojrzałem stopy garnirowań do czepków, obok postawionej balii, i kilkanaście dzieciaków, bawiących się w kreślenie liter po piasku, z wzorów Promyka.

Byłem cały pod wrażeniem świeżo przeczytanej książki, opisującej życie działalność, milionowe fundacye, prawniczki wielkiego Kolberta, w Turynie.

Przypomniałem sobie mimowolnie, te pomoce królów, książąt, ministrów, te marmurowe pałace, obrócone na zakłady dobroczynne, mające rozślawić imię ich założycielki w odległe czasy, i pomyślałem sobie:

„Do robenienia ludziom dobrze, jakże niewiele potrzeba! Ta drewniana chałupka taksamo, jak



tamte niebotyczne gmachy, przytula cierpienia i nędzę, gromadzi maluczkich do modlitwy, do nauki pierwszych zasad życia; oświeca czytaniem, rozmowami i radami roztropności o obowiązkach, przyszłych czyni zatem w kraju biednym, zapomnianym, w oczach Boga i z Niego płynącej cywilizacji, może większe rzeczy od tamtych, gdzie wszystko mają poto, aby być dobrymi. Ać, nie wątpię, że modlitwa, w naszym ubożuchnym, z surowych tramów krytym dranicami kościółku, nie bywa świętszą i lepszą, od pompatycznych ceremonij w katedrze Kolońskiej.

„Może tu ten, siwy jak gołąb, staruszek, proboszcz, co zniewolił do współdziałania niedbałego dziedzica, i ta wiecznie ludzi miłująca Blandyna, prędzej od zwycięzcy Sedanu, mogą powiedzieć, założywszy w Niechlujewie gospodę chrześcijańską: *Eccegi monumentum*, dla większej chwały Boga.

„Ale o katedrze kolońskiej pisze świat cały, a o gospodzie w Niechlujewie prawie nikt.

„Ta biedaczka — myślałem dalej — pracą swoją utrzymująca dwie niedołęgi losu, ciągle mówi jeszcze o swoich biednych; narzuconego grosza, nie przyjmie dla siebie, można ją skłonić jedynie do przyjęcia ofiar na biedniejszych od niej. Oileż mi się wydała ona wyższą od tej, znanej mi nauczycielki ludowej, która otoczona *młodzieżą* — i to jaką młodzieżą! — z papierosem w ustach, wykonywa swoje obowiązki. Za wszystkie skarby budżetów nie dostanie takiej Blandyny; a lepiej pono obywać się bez pomocy budżetu, niż mieć podobne tamtej ludu nauczycielki.“

Szereg tych myśli przerwała p. Blandyna, przynosząc mi herbatę.

Herbata była niezłą, smakowała mi jak ta, którą można mieć na rubla funt.

Namiętnemu palaczowi przysła zaraz na myśl potrzeba wypalenia przy podanej herbacie jakiegobądź tytoniowego przetworu, tutaj regulaminem wzbronionego; przysła mi na myśl i analogiczna potrzeba tych, którzy się nie mogą obejść bez użycia rumu.

Spytałem więc śmiało p. Blandyny: czyby nie lepiej gospoda spełniała swe przeznaczenie, tolerując mierne i przyzwolite użycie trunków i cygar?

— Nie — odpowiedziała, potraszając głowę, nie byłoby lepiej. Wkrótce chodziliby do gospody, jak do karczmy, i różnicy-by nie było. Dziś chodzą z uszanowaniem, jak do jakiego zakładu naukowego, do muzeum, uwzględniającego jedynie ich chwilowe potrzeby, i to lepiej.

— Wiem już, — mówiłem do rumieniającej się Blandyny, — od mieszkańców tej osady o całej pani działalności i skrzętności około zaprowadzenia różnych potrzebnych ulepszeń. — Czy można zapytać? bez niedyskrecyi, o czem pani jeszcze obecnie zamysłasz?

— Chciałabym koniecznie, aby tu był szpitalik. No, naturalnie, — dodała, — nie to bynajmniej, co pod wyrazem szpital rozumiemy, ale chociaż budynek, któryby oddzielał umarłych od żywych, zdrowych od zaraźliwie chorych, do którego by na nasze wezwanie, przyjeżdżał lekarz albo felczer. — Tyle, — dokończyła z westchnieniem, — w Warszawie marnują pieniądze na cyrki, ogródkowe teatry, które, jak sami piszą po gazetach, tylko zepsucie w nich szczepią! — tu gniewnie przygryzła wargi — Gdyby chociaż jeden dzienny dochód z tych przedstawień nam się dostał, jużbyśmy i szpitalik swój mieli i byłoby i chorym i zdrowym lepiej. Ale i tak mam nadzieję, że moje najgorętsze życzenia się spełnią. Hrabianka z pałacu obiecała, że u ojca wyjedna po powrocie z zagranicy drzewa, ile potrzeba, na szpital; proboszcz poruszy serca parafian o potrzebne pieniądze na cegłę i wapno; mieszkańcy sami materiały zwożą, a nawet mury wzniosą, bo mamy między nimi kilku poczciwych mularzy: o reszcie kosztów Bóg sam nie zapomni. On, który w pomoc uczciwym zamiarom przybywa. Robota nasza będzie szła wolno, ale przecie kiedyś się skończy; najgorzej, że pisarz gminny twierdzi, iż nie może się obyć bez zatwierdzenia, a to zatwierdzenie tyle zawsze wymaga podróży, formalności i kosztów!

Na tem rozmowa o szpitaliku wyczerpała się. Wzrok mój wodząc wokoło pokoju, zatrzymałem go dłużej na owym fortepianiku.

— Stary grat? — nieprawdaż? usiłując po-

chwycić watek mej myśli, odezwała się Blandyna.

— Nie o jego starości, ale o samem jego prawie obywatelstwa w tej gospodzie myślałem. Zatem pani tolerujesz muzykę?

— Dlaczegożbym ją przesładować miała? I owszem, muzyka nie sprzeciwia się zasadniczej myśli takich ochron, jaką jest dla dorosłego ludu każda gospoda — oczywiście, muzyka spokojna, taka, jaką mieć można na fortepianie, nie owa hałaśliwa z bębenkami, dzwonekami i talerzami; przypominająca murzyńskie bambule. Fortepian zastępuje im organy; przy nim uczą dziewczęta swoje spiewu, chcąc, aby córki harmonijniej od matek swoich na chórze kościelnym Boga chwaliły. Obmyślałem różne niemęczące nauki i ponętne rozrywki, aby tylko do jaknajwiększego ucześnieczania tu zachęcić; ale cóż kiedy mi zbywa na środkach najniezbędniejszych! Gdybym mogła gdzie zdobyć jaką historią naturalną z obrazkami, tłómaczyłabym gościom moim obyczaje ciekawszych zwierząt; takich opowiadań zawsze chciwie słuchają. Gdybym mogła chociaż mieć zabawki dziecinne przedstawiające lokomotywę, telegraf, telefon, po kilku lekcjach uwierzyliby, że w tych wynalazkach zły duch nie siedzi. Podarowano mi ze dworu porzucony przez chłopców mikroskop; ale cóż, kiedy znowu niema przy nim okazów!... Nam się wszystko przyda do naszych gospód, bo pan, jak widzę z Warszawy, nie wyobrazi sobie, jak dalece lud ten o najelementarniejszych rzeczach nie ma nawet wyobrażenia i jak fałszywie o nich sądzi. Przez tę ciemnotę są butni, hardzi, zarozumiali, kłótlivi, do zwad i processów skłonni.

— Co ja im się nie naprzestawiam, — mówiła dalej, — nie naperswaduję, że dobrowolnie się ruinują na nierozsądne processy! Wszystko to groch na ścianę. Dwa razy w tydzień regularnie wyruszają ztąd całe bandy stron i świadków do sądu gminnego, w sprawach nieprzedstawiających nawet jednego rubla szkody, albo tak ważnych, że n. p. pan Marcin gdzieś powiedział pani Pawłowej „głupia“, o czem wie i bez tego nasz cały małeńki świątek. Tracą czas i pieniądze na takie bzdurstwa; przez to źle robią w swej roli; ztąd bieda, narzekania, przekleństwa, rozpacz. Wraz z zacnym proboszczem naszym perswadowaliśmy, że tak ważne spory można kończyć na miejscu, przeproszeniem pani Pawłowej, zapłaceniem odrazu szkody zrządzonej przez gęsi czy kaczkę. Najmędrszy z osady, niegdyś ławnik nawet, powiedział mi na to, że takie załatwienie sprawy *honornemu* człowiekowi nie wystarcza; że trzeba, aby przeciwnik *powąchał* sądu, inaczej zupełnej satysfakcyi nie będzie.

Na tego rodzaju oświadczenie ja zamilkłam; proboszcz łąjał z punktu religijnego, ale nie przekonał: honor pogański u nich, w ich przekonaniach, od przepisów Chrystusa wyższy. Ciężko poradzić z tem zdżuczeniem pod wpływami obcemi, które ludowi kładą w uszy, że proboszcz nic nie znaczy, a „stara panna“ — jak mnie nazywają — umyślnie na to tak gada, żeby zgodę, nie w szynku, ale w gospodzie zapili — herbatą.

Obiecawszy zacnej opiekunce moralności ludowej za jej starania, lubo często bezowocne, bo nie mające powagi, która u zbałamuconego ludu wszystko znaczy, — że przyszlę z Warszawy cacek dziecinnych porzuconych, książek przechodzących w ręce bogaczy, pożegnałem zacną i prawdziwą ludu nauczycielkę serdecznym uściśnieniem ręki, zalecając jej, aby się nie zrażała przeciwnościami, które są nieuchronne dla wszystkich pracujących w Bogu dla ludzi, a nie dla marnych zysków.

Kiedym, ściskając tę zacną dłoń cnotliwej pracy, powiedział: „Miliony budżetów podobnych poświęceń nie stworzą nigdzie“ — rozplakała się prawie w głos, a to już ośmieliło mnie do powiedzenia:

— Pani poświęceń ani ludzie, ani miliony nie oplacą. Nagroda takich poświęceń podjętych w niedostatku, nie do tej ziemi, ale do Boga należy. On jeden statecznie poznać i ocenić je zdoła.

Pożegnałem zacną kobietę i wyjechałem z miasteczka. Myśląc o podzieleniu się wrażeniami z czytelniczkami *Bluszczo*, rad byłem wiele, że mi przypadek dozwolił na jawie, w rzeczywistości zblizka przypatrzeć się kierunkowi, jaki każda

dobrze prowadzona gospoda chrześcijańska mieć nad sobą powinna.

Wielistaw.

## ŻYCIE W CHINACH I JAPONII.

przez

A. Dubard'a.

(Dalszy ciąg).

III.

Stosunki między Europejczykami a krajowcami. — Kobieta jako łącznik międzynarodowy. — Metysi. — Kilka słów o nauce języka japońskiego. — Nauka na Wschodzie. — Upodobanie w cackach. — Wyższość sztuki japońskiej nad sztuką chińską. — Rozmaite kupna. — Wpływ dnia noworocznego na cenę cacek. — Jeszcze Szangaj — Małżeństwa amerykańskie. — Służba chińska i japońska. — Betto.

— Zdaje mi się — zagadnął Sylwin — iż kwestya stosunków Europejczyków z krajowcami jest nader ciekawą i że chętnie usłyszelibyśmy coś o niej.

— Masz słusność, przyjacielu — odparł Barrot — uwaga twoja jest zupełnie sprawiedliwą; nie omieszkać jej też bezzwłocznie zadośćuczynić.

W Chinach, a mianowicie w wielkich miastach, jak Szangaj i Hong-Kong, cudzoziemiec objawia dla krajowca głęboką pogardę, którą mu zresztą ten ostatni oddaje z procentem. Anglicy uważaliby się za shańbionych, przestając z mieszkańcami Niebieskiego Państwa, a i ci też z trudnością daliby się nakłonić do przyjaźniejszych stosunków. Wzajemna duma wznosi nieprzebytą zaporę pomiędzy rasą żółtą a białą, pomiędzy wyznawcami Konfucjusza a członkami rozlicznych wyznań chrześcijańskich.

W państwie Mikada zaporą ta zmniejsza się co raz bardziej z dniem każdym. Pomimo sztywności Anglików dokonywa się nieznaczne zbliżenie pomiędzy żywiołem obcym a miejscowym. Z Francuzami jest ono jeszcze wybitniejszym. Japończyk lubi się śmiać; charakter Francuzów, wesoły i ożywiony, najlepiej się też zgadza z jego usposobieniem.

Kobieta nie jest obcą temu ruchowi. Japonki posiadają prawdziwy urok dla Europejczyka; nie będąc doskonale pięknymi, według praw plastyki, są jednak bardzo powabne, łagodne, wesołe, pieśszcziotliwe, a nadewszystko niewymagające. Niema też prawie Europejczyka, osiadłego w Japonii, któryby dłużej lub krócej nie był pod wpływem Amora japońskiego. Ze stosunków prawie legalnych, według praw japońskich, przychodzą na świat śliczne dzieci; chłopcy też, gdy ojciec powróci do Europy, bywają niekiedy adoptowani przez wysoko położone osobistości. Na nieszczęście zdarza się to nader rzadko i często widzieć można marnującą się biedne małeństwo, których twarzyczki, bardziej różowe od innych, świadczą o pochodzeniu, porzucone przez ojców bez sumienia; dzieci takie stają się dla matek niezmiernym ciężarem. Los tego drobiazgu straszniejszym bywa tam jeszcze, aniżeli w Europie, gdyż ich położenie jest bardziej anormalnem; w Japonii bowiem ogólną jest zasada, że dziecko pozostaje zawsze na opiece ojca. Nigdy też nie mogłem patrzeć na te biedne istoty bez uczucia litości i oburzenia względem, lekkomyślnych moich rodaków, popełniających taką straszną nieuczciwość. Zdarzają się też i wręcz przeciwne wypadki. Widziano Europejczyków, którzy, nawróciwszy swe ulubione, zaślubiali je religijnie, a następnie, w porządku przeciwnym, aniżeli we Francyi — cywilnie, dla uprawnienia potomstwa. Przykład dany z góry nasładowany był i przez innych, umieszczonych na niższych szczeblach społeczeństwa.

Przyznać tutaj potrzeba, że chociaż postępowanie tego rodzaju jest godnem wszelkiego uznania, niemniej przecież jest wiele nielogicznem. Japonka, pomimo nawrócenia, pozostaje zawsze istotą bierną; dla niej zupełnie rzecz to obojętna, czy będzie chrześcijanką czy mahometanką lub mor-



monką: ona nie pojmuje świętości związków, nierozzerwalności małżeństwa, co jest zresztą przeciętne narodowym jej zwyczajom; nie rozumie zupełnie doniosłości wyrzeczonej przysięgi. Europejczyk więc, zaślubiający Japonkę, a szczególnie Francuz, nie mogący się uciec następnie do rozvodu, popełnia wielką nieroztropność.

A teraz kilka słów w przedmiocie, również dla was zajmującym, mianowicie o pociągu do Japonii Europejczyków wogóle, a Francuzów w szczególności. Od pierwszej chwili jest się mimowiednie ujętym przez ten lud sympatyczny; następnie, w niemiarkowanym porządku rzeczy, opanowuje nas namiętne upodobanie do cacek. Magazyny też przepelnione są zwykle kupującymi, którzy, posługując się pewną liczbą pseudo-japońskich wyrazów, stworzyli jakiś dyalekt *sui generis* i porozumiewają się nim z kupcami, z posługaczami popychającymi ręczne wózki (zwane *dżyn-ryki-cha*) z *sen-do* (wioslarze), z *musme*, z mnóstwem innych ludzi, żyjących mniej lub więcej z cudzoziemców. Rozmówić się z Japończykiem nie jest trudno, gdyż lud to poczciwy, pełen uprzejmości; rzadko kiedy usłyszysz brutalną, jak w Chinach, odpowiedź *nie rozumiem*. Japończyk słucha z uwagą, prosi o powtórzenie i określenie znakami żądanego przedmiotu, sam wiele gestykuje, wreszcie schwyty wypadkiem jakieś słowo i wkońcu domyśli się o co rzecz idzie. Cóż z tego wynika? Oto po dwóch miesiącach leniwy Europejczyk w przekonaniu, że dosyć już umie, zarzuca zupełnie pracę nad językiem krajowym. Niektórzy nawet, poprzestając na kilkunastu przekręconych słowach, nie usiłują uczyć się więcej.

*Magato* <sup>1)</sup>, *ikuro* <sup>2)</sup>, *anary takai* <sup>3)</sup>, *dokomalo* <sup>4)</sup> i tym podobne! Poczciwi Japończycy śmieją się ukradkiem, ale rozumieją ten lamany język i odpowiadają zawsze uprzejmie <sup>5)</sup>.

Przy jakiejkolwiek pracy można w trzy lub cztery miesiące rozmówić się dosyć poprawnie w kwestiach potocznych, odnoszących się do codziennego życia, ale chcąc poznać język gruntownie, na to lat całych potrzeba. I nic dziwnego: język japoński nie jest podobnym do żadnego innego języka; pracując nad nim, nie można się posilkować żadnym innym, a nadto zawiera on pewną liczbę wyrazów, których znaczenie zmienia się wraz ze sposobem wymawiania, lub miejscem, jakie one zajmują w układzie zdania. Naprzykład: „*kams*“ oznacza: *Bóg, papier, włosy i nogę*; „*To*“ określa czternaście przedmiotów: *drzwi, kamień szlifierski, i, także, jak, spór, dziesięć, odwar, miara płynu, świętynia, lnia, to, ta, jest*. Pismo jeszcze trudniejsze: jest ono albo ideograficzne czyli, jak pismo chińskie, składa się z kilku tysięcy znaków—bądź też fonetyczne, czyli alfabetyczne. To ostatnie dzieli się na dwie części, złożone z pewnej liczby liter i znaków dopełniających, i które zarazem oznaczają sposób wymawiania. Jedna z tych części zwie się *katakana* i jest najpowszechniej używaną; druga

*hirakana* i tą niemal wyłącznie posługują się kobiety.

Pismo ideograficzne, jak to każdemu wiadomo, jest niesłychanie skomplikowanym: zaledwo wystarczy całe życie człowieka na poznanie tysięcznych znaków. Dokładna w tem umiejętność, stanowi niemal całą naukową wiedzę chińskich literatów.

Japończycy, dużo praktyczniejsi od swych sąsiadów i nie tak jednostronni, dawno już rozszerzyli programat wiadomości koniecznych, dla tych, którzy się chcą mianować uczonymi. Od czasu przyjęcia pojęć europejskich systemat nauczania odwzorowano zupełnie według zaprowadzonego u nas; tym więc sposobem i pismo ideograficzne, chociaż go nie zarzucono zupełnie, jednakże usunięto na drugi plan.

Istotnie więc, *katakana* jest obecnie pospolitem pismem Japończyków, chociaż oni sami przyznają wyższość naszemu alfabetycznemu; nie zdziwiłbym się wcale, usłyszawszy pewnego pięknego poranku, że nasze *a, b, c, d*, stało się poprostu z rozkazu Mihała obowiązującym we wszystkich szkołach państwa.

(Dalszy ciąg nastąpi)

- 1) Stała cena.
- 2) Ile?
- 3) Za drogo.
- 4) Dokąd idziesz?
- 5) Wszystkie te wyrazy, oprócz „*ikura*”, który jednakże niezawsze może być zastosowanym w oznaczonym sensie, nie są japońskie.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dalszy ciąg powieści pod tyt.: **Na wybrzeżu.**

## OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową Redakcją i na dotychczasowych warunkach.

### WARUNKI PRENUMERATY:

Wydanie I.	Wydanie II.	Wydanie III.
Zawierające <i>wszystkie dodatki i wzory ubiorów i robót</i> w dotychczasowej formie.	Zawierające to wszystko co I-sze wydanie, z dodaniem jeszcze:	Zawierające to wszystko co I-sze wydanie, z dodaniem jeszcze <i>do każdego numeru:</i>
	dwa razy na miesiąc <i>mód kolorowanych</i>	<i>Mody kolorowanej</i>
		oraz co miesiąc zefiru.
<i>W Warszawie:</i>	<i>w Warszawie:</i>	<i>w Warszawie:</i>
Miesięcznie . . . . . kop. 60	Miesięcznie . . . . . kop. 75	Miesięcznie . . . . . Rs. 1
Kwartalnie . . . . . Rs. 1 kop. 80	Kwartalnie . . . . . Rs. 2 kop. 25	Kwartalnie . . . . . Rs. 3
<i>Na prowincyi i w Cesarstwie:</i>	<i>Na prowincyi i w Cesarstwie.</i>	<i>Na prowincyi i w Cesarstwie:</i>
Kwartalnie . . . . . Rs. 2 kop. 50	Kwartalnie . . . . . Rs. 3	Kwartalnie . . . . . Rs. 4
Półrocznie . . . . . Rs. 5	Półrocznie . . . . . Rs. 6	Półrocznie . . . . . Rs. 8
Rocznie . . . . . Rs. 10.	Rocznie . . . . . Rs. 12	Rocznie . . . . . Rs. 16

Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla Prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do Redakcyi nadesłać prenumeratę, wraz z dokładnym i wyraźnie napisanym adresem. Prenumeratorów z prowincyi i Cesarstwa upraszam również, aby żądania swoje raczyli adressować „do Redakcyi *Bluszczu* Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).”

Wczesne wyprawienie pierwszych, regularne odsyłanie dalszych numerów „*Bluszczu*“, zależy głównie od zastosowania się pod względem przesłania prenumeraty do powyższego ogłoszenia.

**MICHAŁ GLÜCKSBURG**

Księgarz-Wydawca.

**TRESC.** Wystawa robót szkolnych w Kołomyi, przez Wł. N-i.—Królewiec i Grunwald, opowiadanie historyczne, (dalszy ciąg), przez Felixa S\*\*\*—Przegląd piśmienniczy. — Cicha praca, przez Wielisława. — Życie w Chinach i Japonii, (dalszy ciąg), przez Dubard'a.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 8 Сентября 1882 года.